

Wojciech Bauer

TEN DZIEŃ

Już wiedział, że zapędził się za daleko. Bagno wydzielalo tu nieznaną woń, niepodobną do swojskiego zapachu jego terytorium. Młaskanie wyciskanej spod kęp wody też było inne: bardziej przeciągłe, śpiewne jakby i trochę szeleszczące. Obce.

Źle zrobił, wyruszając z legowiska, zanim czerń zaczęła zielenieć. W ciemnościach łatwo zabłądzić – nawet jego wyostrzone zmysły potrafiły zawieść, gdy szukał właściwej ścieżki w płataninie lian i osłizłych, miękkich pni. O tej porze zerowały jedynie mandry. I wolałyby nie wejść teraz w drogę żadnej z nich, choć w dzień był od nich lepszy. W dzień był lepszy od wszystkiego w lesie, może z wyjątkiem Jego, ale On nigdy nie miał godnych siebie przeciwników, zwłaszcza wtedy, gdy był tu suwerennym władcą wszystkiego, co żywe.

Nikt nie lubi dzielić się władzą i dlatego już niedługo będzie musiał się z Nim zmierzyć. Coraz częściej trafiał na ślady naruszające granice jego terytorium. To znaczyło, że starcie było nieuniknione. On nigdy nie zmieniał terenu łowów przypadkowo. Coś Go do tego zmusiło – może kurczące się zasoby zwierzyny, a może... Może wiedział o jego istnieniu i czuł, że musi podjąć walkę o hegemonię nad lasem.

Coś załomotało w czerni przed nim i dobiegł go zapach spłoszonego stada. Kózki uciekały w popłochu, pluszcząc kopytami w błocie i wywołując miarowe kołysanie bagna, którego uginający się kozuch wznosił się i opadał majestatycznymi, dobiegającymi aż tutaj falami. Oto jeszcze jeden sygnał błędu. U siebie nigdy nie zdarzyło mu się spłoszyć kózek, zanim nie wyczuł ich lub nie zobaczył. Dalsza wędrówka po omacku przez nieznaną teren stawała się niebezpieczna. Jeśli nawet kózki dostrzegły go pierwsze... Postanowił poczekać do świtu i zawrócić na szlak. Chyba nie oddalił się zbyt daleko, jeszcze niedawno zdawało mu się, że wyczuwa znajome miejsca.

Z bardzo bliska doszła go woń drzewa. Jeżeli to nie jest kolumna, tam zaczeka na pierwszy blask. Musi sprawdzić, zanim zbliży się do pnia. Kolumny często wydzielają fetor charakterystyczny dla zwy-

kłych drzew, szczególnie nocą. Wyszukał kawałek grubej gałęzi i cisnął nią w stronę czarnego konturu.

Nie stało się nic. To było zwyczajne drzewo. Zbliżył się ostrożnie i nieufnie obszedł je dookoła, podejrzewając podstęp. Zawsze miał wrażenie, że kierowane żarłocznością potrafią zdobyć się na trudne do przewidzenia posunięcia. Dopiero dotknięcie gąbczastej kory dało mu pewność, że niebezpieczeństwa nie ma. Stał plecami do drzewa, oparł stopę ugiętej nogi o pień i zamarł w bezruchu na długie godziny, jakie upłynąć miały do świtu.

Najpierw zazieleniły się płaskie tarcze wierzchołków drzew. Zieloność spływała w dół po fantastycznie wykręconych pniach, rozjarzając lśnieniem krystaliczne gwiazdki wśród kwiatów bagiennego poszycia i błyskając czarnymi okami wody spomiędzy kęp roślinności. Z bulgotem strzelały ku blaskowi grube kikuty palców z czerniejącym złowieszczą paznokciem żądła, spragnione światła po całonocnym letargu w głębinach bagna. Łapczywie syciły się jasnością jak łaknący wody skacowany pijacek, po czym zanurzały się wolno, wsysane przez zbełtaną ich ruchem ciastowatą pulpę.

Obserwował ten ruch budzącego się trzęsawiska, zapamiętując poszczególne skupiska palców. Nie byłoby dobrze wdepnąć w ich siedlisko, zwłaszcza teraz, gdy wysyłająca je na łowy grzybnia nie dostała jeszcze swej pierwszej ofiary. Nocą palce nie były groźne – uaktywniała je dopiero zieleń pierwszych promieni słońca. Dlatego powrót na szlak nie będzie taki prosty, jak zejście z niego. Główne grupy jadowitych pędów zapamiętał z fotograficzną dokładnością, największym zagrożeniem były pojedyncze sztuki. Nawet jego instynktowna zdolność unikania niebezpieczeństwa nie mogła ochronić go przed niespodziewanym atakiem samotnej pułapki.

Ostrożnie oderwał się od pnia i ruszył przed siebie. Starął się iść po kępach, w czarną maź schodził tylko w ostateczności. Zanurzał wtedy delikatnie stopę, usiłując wymacać plackowaty kształt pochwy, w której kryło się groźne żądło. Jeśli palca nie było, zsuwał się z kępy w błoto. Asekurował się przy tym rękami – otchłań między kępami mogła czasami sięgnąć wyżej głowy, a wtedy żadne stworzenie nie było w stanie uwolnić się od wysysającej mocy. Sztuka poruszania się po trzęsawisku polegała na odpowiednio szybkim i zdecydowanym ruchu przy właściwym nachyleniu stopy, tak aby krok nastąpił przed

przekroczeniem granicy sprężystości podłoża, które tworzyło pod powierzchnią warstwę błota rodzaj cienkiej błony. Pod nią była topiel. Oczywiście nie zastanawiał się nad tym – ruchami jego ciała kierowała rutyna.

Mimo całego doświadczenia raz tylko cudem uniknął śmierci. Nieostrożne zachwianie przy kolejnym kroku – i tuż pod prawą pachą z sykiem wystrzelił z błota obły, białawy kształt. Instynktownie runął w przeciwną stronę, tracąc płynne oparcie stóp. Zanurzał się coraz głębiej, a gdy utracił resztki nadziei, gdy coraz wyżej otulało mu twarz lepkie ciasto, uwięziona już ręka trafiła nagle na coś twardszego od wchłaniającej go nieubłaganej brei. Oparł się całym ciężarem na zatopionym pniu i wolno, z wysiłkiem wyciągnął ciało z bagna.

Długo odpoczywał siedząc zanurzony po piersi na zbawczej kłodzie. Dopiero kiedy zamarł najmniejszy nawet ruch rozkołysanej powierzchni, odważył się podjąć wędrówkę na nowo. Słońce stało w zenicie, gdy pod stopami poczuł zmieniającą się gęstość podłoża, równocześnie rozpoznał pierwsze znaki, świadczące, że wkracza w granice swych terenów łowieckich. Teraz już łatwo odnajdzie szlak wiodący do celu. Poczul ulgę i zaraz żołądek odezwał się głośnym burczeniem. Od wczorajszego polowania nie miał nic w ustach. Rozejrzał się baczenie, szukając śladów czegokolwiek, co dałoby się szybko schwytać, lecz tylko miękkie kłacza lian nadawały się do jedzenia, a nie miał tyle czasu, żeby skutecznie oszukać nimi głód. Postanowił iść dalej i liczyć na szczęście.

Dopiero przed wieczorem doleciał go znajomy zapach. Tak, teraz był sobą – kózki pasły się spokojnie, nieświadome zbliżającego się napastnika. Miał je w zasięgu skoku, gdy przodownik stada wyczuł niebezpieczeństwo. Podniósł raptownie głowę i zabezzał ostrzegawczo, lecz było za późno. Potężny wyrzut ciała i wyciągnięty w locie nóż wbił się w brzuch najbliższej ofiary. Kózki roztrysnęły się panicznie na boki.

Można było rozpocząć ucztę. Nie tracił czasu na wypatroszenie zwierzęcia. Rozcinał skórę w najbardziej mięsistych miejscach tuszy, rwał ciepłe kawały i połykał je niemal bez żucia. Dopiero po zaspokojeniu pierwszego głodu pozwolił sobie na grymaszenie. Wybierał smaczniejsze kęsy i gryzł je starannie, przymykając oczy z rozkoszy.

Był syty. Dla resztek mięsa tracił zainteresowanie, choć godzinę temu byłby je pożarł bez zastanowienia. Ułożył się wygodnie na kępie miękkiego mchu, pozwalwszy sokom trawiennym dokończyć tak wspaniale zaczętego dzieła.

Atak mandry zaskoczył go. Zwabione zapachem krwi obłe cielsko runęło z drzewa, o centymetry chybiając celu. Gdyby nie to, że znajdował się w pewnej odległości od padliny, walka byłaby zażarta, a jej wynik co najmniej niepewny. Rozkojarzone rozbieżnością między źródłem zapachu, który je tu przywiódł, a widokiem potencjalnej ofiary zwierzę popełniło błąd, który kosztował je życie. Poczul nawet cień litości, gdy przecinał kręgosłup zanurzonego do połowy w błocie napastnika. Mógł sobie na nią pozwolić, była pochodną pogardy dla słabszego i pokonanego.

Ten incydent wytrącił go ze stanu błogości po udanym obiedzie. Przypomnił również, że polowanie nie było to finałem dnia, lecz środkiem do realizacji celu, który od czasów dawno zapomnianych cyklicznie kazał mu opuszczać legowisko i własne terytorium i wyruszać na niebezpieczną eskapadę. Od wyspy dzielił go jeszcze szmat bezdroża, będzie musiał dobrze wyciągać nogi, aby zdążyć przed jutrzejszym południem. Bo sens wyprawy zawierał się w tej jednej, konkretnej chwili.

Niewiele drogi zostało jaskrawej kuli, atawistycznie nazywanej przez niego słońcem, do najwyższego punktu codziennej wędrówki, gdy teren zaczął się zmieniać. Coraz mniej było grząskich rozlewisk, pojawiały się coraz większe połacie twardego gruntu. Las kończył się. Za lasem czekało na niego dopełnienie obrządku, którego sens dawno zagubił w codzienności bagna, a którym władała już tylko podświadomość. Przez nią poganiany, przyspieszył kroku. I wówczas usłyszał ten ponury skowyt. Sygnał od Niego. On dawał mu znak, że tu jest i że czeka, by podjął wyzwanie.

Staął jak wryty. Prawo lasu nakazywało przystąpić do rozstrzygającej walki. Był na nią przygotowany, szykował się od czasu, gdy zobaczył pierwszy ślad łapy na korze. Czekał na spotkanie, ba, instynktownie chodził Jego tropem, licząc, że dopadnie go w chwili, gdy pierwszy atak z zaskoczenia da mu przewagę na tyle dużą, iż zdoła skutecznie wykorzystać własne atuty. Dziś wyzywał go On – i dziś

nie mógł podjąć pojedynku. Bowiem gdy ciało zareagowało skokiem adrenaliny, powróciła świadomość tego, po co tu przyszedł.

Rzucił okiem na słońce. Do południa zostało bardzo niewiele czasu. Trudno. Dziś On musi poczekać. To nie potrwa długo, pocieszył Go w myślach, jakby On był w stanie odebrać i pojąc to usprawiedliwienie.

Bezszelестnie przemknął wśród drzew, próbując nie zdradzić się najmniejszym hałasem. Czuł się podle, gdy uchodził przed zagrożeniem jak przestraszona kózka, ale nie mógł inaczej i miał nadzieję, że las zrozumie. Zrozumie i wybaczy. Obiecywał sobie w duchu, że natychmiast, gdy tylko wypełni swe posłannictwo, stanie przeciw Niemu, choćby miał poświęcić temu resztę życia.

Las skończył się nagle. Wypadł na rozległą, suchą płaszczyznę, wynurzającą się z bagien jak samotna wyspa na oceanie błota. Słońce dobiegało zenitu. Mijając cztery niewielkie kopczyki rozumiał, że nie zdąży dopełnić tej części rytuału, który nakazywał przystanąć tu na chwilę. Nie miał już czasu. Najważniejsze było przed nim i czekało otwartymi wrotami słuzy.

Winda z młaśnięciem wypluła go wprost w ramiona fotela. Usiadł w nim z ulgą, otarł pot z czoła i spojrział przez wyrwę w ścianie na słońce. Było południe.

Wsunął dłonie w miękkie wnęki kontaktera. Dojrzał jeszcze mrugającą diodę kontrolki i ogarnęła go przestrzeń. Pędził przez nią we wszystkich kierunkach, pulsował w nią sygnałem modulowanej fali. Odezewem była cisza; szumiała jednostajnym szeptem Galaktyki, takim, jaki słyszał od niezapamiętanej wielkiej ilości cykli, zdawałoby się – od początku świata. Zanurzał się w ów szept i zespałał z jego trwaniem, znajdował w nim ukojenie. Był jednością z potężną pustką kosmosu, upajał go rytm kodu, którego znaczenie straciło sens, rozmyło się w czasie. Sensem powtarzanego obrzędu był od pradawna wypełniający ciało rozkoszą kontakt z wszechświatem: czuł pieszczotę słonecznych huraganów na wchłanianych przez mgnienie gwiazdach, jego rozpalone zmysły wprawiał w trans szmer ich wszechobecnej gadaniny, którą zakłócał teraz drażniący puls jego sygnału – sygnału, który nie miał dotrzeć do nikogo.

A jednak...

Przez ciszę, przez dopełniającą się rozkosz dobiegła go odpowiedź. Niespodziewana, brutalnie przerywająca to spółkowanie z przestrze-

nią, odbierająca pierwotne znaczenie sygnału i co gorsza – odpowiadająca na nie...

Tego nie było w ceremonii. To zakłócało odwieczny porządek rzeczy, sygnał nigdy nie miał odpowiedzi i nie powinien jej mieć, tak było zawsze...

Wyrwał dłonie z kontaktera. W panice wskoczył do windy, a potem gnał przed siebie, a w mózgu ciągle słyszał to odległe wołanie: „PODAJ WSPÓŁRZĘDNE, PODAJ WSPÓŁRZĘDNE, PODAJ...”. Biegł na spotkanie ściany lasu, skąd kolumny wyciągały doń ruchliwe macki, a głuchy skowyt Jego przypominał o czekającej nieuchronnie walce.

Ełk, sierpień 1986